Nr. 49. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po $1\frac{1}{2}$ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 7 grudnia 1872.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

TREŚĆ: O metodzie w nauce ekonomji politycznéj, napisał Dr. Józef Descours de Tournoy. (Ciąg dalszy.) — Obrazki litewskie Ze wspomnień tułacza Sobarri. (Ciąg dalszy.) — Kilka uwag o liryce i lirykach naszych najnowszych. (Dokończenie.) — Mam dwa domy. Fraszka sceniczna w 3 aktach, przez Włodzimierza Wolskiego. (Ciąg dalszy.) — Przegląd literacki: Dr. J. Girgensohn: Kritische Untersuchung über das VII Buch der Historia Polonica des Dlugosch, i Dr. M. Perlbach: Die ältere Chronik von Oliva. — Teatr. — Wiadomości bieżące o rzeczach polskich. — Ogłoszenia.

O metodzie w nauce ekonomji politycznéj

napisał

Dr. Józef Descours de Tournoy.

(Ciąg dalszy.)

Adam Smith był uczniem Hutchesona, a następnie objął po nim katedrę filozofji praktycznéj przy uniwersytecie glasgowskim 1759*). Adam Smith wydał dzieło pod tytułem: „Teorja uczuć moralnych“**) które zaraz 1764 zostało tłomaczoném na francuzki, a późniéj jeszcze po raz drugi przez panią Grouchy, wdowę Condorcet'a.

Przypuszczamy jednakże, że zaszczyt tak wczesnego tłomaczenia miało dzieło Smitha nie dla swojéj wewnętrznéj wartości, ale dla stosunków we Francji swego autora, który już 1763 tam pojechał i obracał się w kole literacko-arystokratyczném społeczeństwa francuzkiego, które przygotowując rewolucję, nie umiało jednakże stanąć na jéj czele i tym sposobem stało się jéj ofiarą.

Teorja uczuć moralnych Smitha nie przedstawia ani zbyt silnéj logiki, ani głębokiéj spekulacji filozoficznéj, właściwą zaś jéj cechą jest sentymentalizm, który uderza w założycielu ekonomji politycznéj; poznanie główniejszych jego zasad moralnych dla tego jedynie może być ważném, że rozświeca jego pojęcia o stosunku etyki do ekonomji politycznéj. Podajemy też niektóre jego aforyzmy:

Jakkolwiek wielką ilość egoizmu można przypuszczać w człowieku, ma on jednakże w swojéj naturze współczucie dla innych, które sprawia, że mu ich szczęście sprawia przyjemność, chociażby miał być tylko jego świadkiem.

Czasem stawiając się w położeniu innych doznajemy uczuć, których oni doznawać nie są w stanie. Nieokrzesanie i nieobyczajność wywołują na nasze policzki rumieniec, gdyż mimowoli wyobrażamy sobie, jakby nam było nieprzyjemnie podobnie postępować.

Ze wszystkich nieszczęść, na jakie człowiek jest narażony, obłąkanie budzi w nas najwięcéj współczucia, chociaż nieszczęśliwy obłąkany nie czuje wcale swego położenia. Jeśli znajduję przyjaciela w pomyślności, powiększa to moją radość, w smutku zaś daje mi pociechę. Zdaje mi się, że przyjaciel w nieszczęściu bierze część smutku na siebie i bardzo właściwie się mówi, że się smutek z przyjacielem dzieli, bo nietylko się z nim współczuje, ale i ciężar boleści zmniejsza, tak jak gdyby brał część jéj na siebie.

Pierwsza zasada chrześcijańska jest kochać bliźniego, jak siebie samego, ale naturalniejszą rzeczą jest o tyle tylko siebie kochać, o ile innych kochamy.

Jeżeli przemyślny hultaj uprawia swe pole a drugi poczciwy ale niedbały człowiek opuszcza swoje, do kogoż zbiór należeć powinien, a który z nich ma umierać z głodu? Naturalny bieg rzeczy rozstrzyga za hultajem, ale wrodzone uczucie ludzkie za poczciwym człowiekiem. Znajdujemy, że zabiegliwość hultaja nadto była wynagrodzoną przez korzyści, jakie mu daje, a niedbalstwo drugiego byłoby za surowo ukarane przez nieszczęście, jakieby z tego powodu na niego spadło, dla tego spo-

*) Life and writing of Adam Smith, praca Mac Culloch'a, która służy za wstęp do jego wydania wszystkich dzieł Smitha.
Lord Brougham. Adam Smith, w pismach krytycznych i biograficznych tego męża stanu.
Victor Cousin. Cours de l'histoire de la philosophie.

**) Theory of moral sentiments.

łeczeństwo może nawet życie odebrać najprzemyślniejszemu hultajowi, a wesprzeć człowieka uczciwego, którego niedbalstwo czyni nieużytecznym człowiekiem społeczeństwa.

Poważanie a nawet uwielbienie, jakie każdy świadek bezstronny ma dla prawdziwéj zasługi ludzi wyższego umysłu, jest uczuciem uzasadnioném, stałém i niezależném od ich powodzenia. Uczucie to nie jest podobném do uczucia, jakiego doznajemy względem ludzi mających wiele o sobie rozumienia i zbyt wiele ambicji. Dopóki człowiek taki jest szczęśliwy w swoich przedsięwzięciach, pociąga wyobraźnię wszystkich samém powodzeniem. Powodami zasłania nam nieroztropność a nawet niesprawiedliwość ich czynów, tak, że nietylko ich nie ganimy, ale stawiamy ich wyżéj od innych ludzi. Ubóstwienie to trwa dopóki służy im szczęście. Gdyby Cezar przegrał bitwę farsalską, stawialibyśmy go może niżéj nawet od Katyliny i każdy widziałby wtedy prawa Rzymu zdeptane przez Cezara w daleko czarniejszych jeszcze kolorach, jak dotychczasowi jego przeciwnicy. Rzeczywiste przymioty Cezara, jego dobry smak, prostota i wytworność pism jego, jego wymowa i zdolności jako wodza, niezłomność w nieszczęściu, stanowczość i zimna krew w niebezpieczeństwie, stałość w przyjaźni, rzadka wspaniałomyślność względem nieprzyjaciół; nieznalazłyby uznania w historji, tak jak nie przyznajemy Katylinie żadnych przymiotów, chociaż posiadał ich wiele.

Chociaż w powodzeniu człowiek ambitny i zarozumiały stawia się wyżéj od cnotliwego ale skromnego, chociaż oklaski tłumu pierwsi tylko otrzymują, jednakże człowiek cnotliwy i skromny po sumienném obrachowaniu okaże się wyższym. Człowiek taki nie przyznaje sobie nic więcéj, jak to co mu się rzeczywiście nalezy, i nie obawia się upokorzenia. Jego wielbiciele nie są ani liczni, ani wiele mają rozgłosu, ale ci go wielbią najwięcéj, którzy go najbliżéj znają. Zdanie jednego człowieka rozumnego droższém mu jest jak oklask tłumu.

Pomimo że, jak z tych kilku aforyzmów widzimy, uczucie przechodzi w Smithcie czasem aż w ckliwą sentymentalność, zauważyć jednak musimy, że samemu nawet autorowi owa moralność oparta na sympatji musiała się wydawać niedostateczną, kiedy tworzy fikcję świadka bezstronnego o którego sympatję trzeba się szczególniéj starać. Skomplikowana ta fikcja ma zastępować czynnik najprostszy, znany przez wszystkich, nawet bez pomocy światła subtelnych systemów filozoficznych, jako sumienie*).

Słaba strona systemu moralnego Smitha uderza szczególniéj z powodu sprzeczności zasad z ekonomją. Myśl naprzykład o potrzebie wspierania uczciwego ale niedbałego człowieka wprost jest przeciwną surowéj, ale słusznéj krytyce angielskiego podatku na ubogich. Niepodobieństwo przypuszczać dwóch prawd, jednéj ekonomicznéj — drugiéj moralnéj, któreby sobie wprost sprzeczne były, gdyż człowiek prawdziwie moralny robi tylko to, co społeczeństwu będzie użyteczném, a ekonomja w moralności widzieć musi najwyższą użyteczność.

Myśli téj tak prostéj nigdy nie znajdziemy u Smitha i dla tego ten sentymentalny moralista mógł zarazem ułożyć w systemat naukę, którą jeden jéj czciciel, jeden z pierwszych prawników naszego wieku, Karol Salomon Zachariä, nazywa nauką metodyczną egoizmu i chciwości*).

Najoryginalniejszą rzeczą w Smithcie, że ta niekonsekwencja jest skutkiem zakreślonego sobie planu. Jego teorja uczuć moralnych zajmuje się działalnością ludzką, pochodzącą z sympatji, ale ta jéj całéj nie wyczerpuje, gdyż działalność ludzka mieć może i egoistyczne pobudki. Dla tego to w dziesięć lat po napisaniu swego dzieła etycznego, napisał inne, które ze względu na rezultata nazwał „Poszukiwania przyczyn bogactwa narodów“**) i które jest, jak wiadomo, pierwszém systematyczném dziełem ekonomiczném.

W dwóch tych swych dziełach Smith dzieli naturę ludzką na moralną, zdolną do sympatji i litości, i ekonomiczną, która powoduje się wyłącznie własnym interesem. W życiu rzeczywistém podział podobny jest niepodobieństwem, gdyż opiera się na tém, co jest najbardziéj osobistego i ukrytego w człowieku, na pobudkach jego czynności, dla tego téż Smith używając za podstawę do swoich poszukiwań podobnéj fikcji psychologicznéj, zaraz traci wszelką podstawę realną w nauce, która powinna być najrealniejszą ze wszystkich.

Jednakże hipoteza racjonalnego egoizmu posłużyła Smithowi do dania swojemu dziełu pozoru nauki skończonéj i kompletnej, gdyż tym sposobem każde zadanie ekonomiczne mogło być rozwiązane a priori, jak równanie algiebraiczne lub zadanie z mechaniki racjonalnéj. Wprawdzie nie wszystkie zadania się rozwiązują według wymagań życia realnego, ale się rozwiązują, przyjmując za pierwsze dane ludzi rozumiejących własny interes i umiejących go zawsze obronić.

Smith jednakże myślał bardzo dużo nad naturą moralną człowieka, znał historję i życie publiczne. Pogląd na społeczeństwo jako na mechaniczny agregat atomów indywiduów, poruszanych tylko odpychającą się siłą racjonalnego egoizmu, modyfikuje się u niego skutkiem tych tylko rozległych wiadomości. Nie obawiał się on nawet zarzutów niekonsekwencji logicznéj, i kiedy fakt jakiś nie mógł się pomieścić w jego systemacie, dawał słuszność faktowi przeciwko systematowi. Naprzykład z przypuszczenia egoistów, którzy mogą, chcą i umieją bronić zawsze swoich interesów, wypadać musi nieograniczona wolność ekonomiczna, tymczasem Smith broni tak zwanych Aktów Nawigacyjnych, które ograniczały wolność marynarki zagranicznéj na korzyść angielskiéj, a nawet czasami i protekcji początkujących gałęzi przemysłu narodowego.

Podobnych sprzeczności, powstających z znajomości i uwzględnienia tak w pojedyńczym człowieku jak w społeczeństwie wszystkich stron natury ludzkiéj, nie spotykamy ani u uczniów Smitha, jak J. B. Say, Ricardo, Mac Cullach, Pellegrino Rossi lub Bastiat.

Dla J. B. Say dzieło Smitha było prawdą absolutną, od któréj nie można było odstępować pod groźbą herezji. Cała jego działalność ograniczała się na zaprowadzeniu większéj logiki w systemat, a przez to Say, co do niemieszania się państwa w sprawy ekonomiczne społeczeństwa, cofa się prawie do fizjokratów.

Ricardo nie ograniczył się tylko do stosowania do ekonomji tego systematu, ale chciał jeszcze z tych samych danych budować a priori historję.

Dla wykazania istnienia renty gruntowéj (co mu się wreszcie doskonale udało), robi sławne swoje przypuszczenie o pierwotném zajęciu pod uprawą najurodzajniejszych gruntów. Użycie podobnych hipotez może być bardzo usprawiedliwioném w naukach społecznych dla

*) W nowszych czasach niemiecki filozof Artur Schopenhauer chciał podobnie oprzeć swą etykę na współczuciu, ale chociaż uzbrojony subtelną krytyką Kanta, chociaż bez porównania głębiéj stawia zadanie, opierając je bezpośrednio na swojéj metafizyce, tak samo brakuje mu rozumienia znaczenia sumienia a przez to uderzający brak uczucia godności człowieka. Dla tego odwagę naprzykład nazywa cnotą kaprala. Dobrą wszakże i oryginalną stroną etyki Schopenhauera jest to, że przyznaje obowiązki względem wszystkich czujących istot, a zatém i zwierząt; zapewne myśl tę wziął z Buddaizmu.

*) W dziele p. t. „Vierzig Bücher vom Staate“, które jest najgłębszą i najgruntowniejszą Encyklopedją nauk politycznych.

**) An inquiry into the nature and causes of the Wealth of Nations.

uproszczenia jakiegoś skomplikowanego zjawiska*), ale Ricardo nietylko używa swego przypuszczenia do tego celu, ale jeszcze używa go jakby jakiego najpozytywniejszego faktu historycznego, za podstawę do obrachunków nad rozkładem dochodu społecznego pomiędzy właścicielami ziemi, kapitałem i pracą i zupełnie nim operuje jak gdyby potwierdzonym dokumentem.

Mac Culloch prowadząc daléj ten system, dochodzi do prawie potwornych rezultatów. Człowiek u niego staje się maszyną do produkowania jak najwięcéj i jak najtaniéj, i nie ma w kwestjach społecznych innego na nie poglądu. Aprobuje naprzykład wypadki, jakie miały miejsce w Szkocji i Irlandji przy zmienianiu gospodarstwa wielkiéj własności z drobnych dzierżawców na folwarczne, które to przejście życiem przypłaciło tysiące Irlandczyków, umarłych z głodu, a na które najznakomitsi myśliciele angielscy i zagraniczni: Sismondi, Carey, Carlyle, John Stuart Mill, wyrazili swoje oburzenie. Mac Culloch wreszcie zostaje wierny systemowi opartemu na przypuszczeniu egoizmu, gdyż system taki nie jest w stanie znaleść u siebie słowa na ich potępienie.

Pomiędzy uczniami Smitha oryginalne bardzo stanowisko zajmuje Pellegrino Rossi. Umysł jego był za nadto bystry i jasny, żeby nie spostrzedz téj tendencji abstrakcyjnéj i mechanicznéj całéj szkoły Smitha i sam uprzedza podobne zarzuty, porównywając ekonomję do geometrji i mechaniki socjalnéj. Chociaż trudno jest brać porównań na serjo, ale zdaje się nam, że Rossi tém porównaniem nie dowodzi ani bardzo praktycznego zdrowego rozsądku, ani filozoficznego na rzeczy poglądu.

Mówiąc o geometrji, mówi, że jest nauką hipotez, gdyż w naturze nie ma nigdzie linji ani płaszczyzn doskonałych a pomimo to geometrja istnieje i istnieje jako nauka ścisła. Na to odpowiedzieć należy, że geometrja jest nauką idealnych poglądów, a nie hipotez, że linja lub płaszczyzna, któremi się geometrja zajmuje, nie są hipotetycznemi ciałami, ale idealnemi poglądami, granicą ciał, a cała matematyka jest abstrakcyjną nauką formy nie treści, a przez to może i musi się opierać na dedukcji: naprzód z pewników, potém z prawd ogólnych, upraszczających się zawsze matematyczném rezonowaniem i redukujących się do pewników, tak, że formuła matematyczna, która zawierać będzie najbardziéj skomplikowaną formę lub działanie, zawsze się wywieść może z pewników, które są wprost przeciwne hipotezom. Ekonomja zaś nietylko że jest nauką zajmującą się treścią, ale treścią najbardziéj skomplikowaną ze wszystkich, a zatém treść tę musi badać i spostrzegać.

Oprócz tego, że Rossi usprawiedliwia dla siebie samego tę hypotetyczną ekonomję*), usprawiedliwia również tę samą metodę także u ekonomistów angielskich, którzy używając jéj bezwiednie, nie zdają sobie sprawy z różnicy hipotezy przez siebie wystawionéj od świata realnego, tak Ricardo z niéj sobie buduje fakta historyczne, a Mac Culloch chciałby ją wprowadzić w praktykę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Tak naprzykład jeden ekonomista niemiecki von Thünen, uczeń zarazem Smitha i agronoma Thaera, w gruntownéj pracy p. t. „Der isolirte Staat“, ażeby wykazać, że rodzaj produkcji rolniczéj zależeć musi zawsze od stosunków ekonomicznych, jak mniejsza lub większa odległość targu, robi przypuszczenie państwa zupełnie odosobnionego z jedném tylko miastem we środku i przychodzi do rezultatów nietylko interesujących, ale koniecznych do poznania każdemu większemu właścicielowi, pomimo to jednak w całém swojém dziele von Thünen nie zapomina nigdy, że postawił hipotezę.

*) Usprawiedliliśmy częściowe użycie hipotezy dla objaśnienia niektórych zjawisk ekonomicznych w von Thünenie, ale nie możemy usprawiedliwić całego systemu nauki opartéj na hipotezie, bo wtedy nauka staje się nauką hipotetyczną, tak jak wszystkie gałęzie matematyki opierając się na pewnikach, są naukami ścisłemi.

OBRAZKI LITEWSKIE.

Ze wspomnień tułacza

Sobarri.

(Ciąg dalszy.)

Ze wszystkich współkolegów Konarskiego najznakomitszą postacią był ks. Ludwik Trynkowski. Urodzony 24 marca 1805 r., ze stanu włościańskiego, w młodym wieku wstąpił do stanu duchownego, a mając zaledwo dwadzieścia kilka lat, słynął już na całą Litwę jako jeden z najznakomitszych mówców. On to, w roku 1831, w dzień Zesłania Ducha św., kiedy o milę od Wilna toczyła się pamiętna bitwa pod Ponarami, miał kazanie w kościele katedralnym, podczas którego przemówił do kilkotysiącznego tłumu po trzykroć: powstańcie, a dopiéro po trzeciém wykrzyknięciu dodał z cicha: z grzechów! Jeszcze nie skończył kazania, a już dany był rozkaz porwania go i zbiry czekali tylko, nim zejdzie z ambony. Ale tłumy otoczyły ambonę, na wschodach zaś już było przygotowane cywilne ubranie, Trynkowski przebrał się, zmieszał się niepostrzeżenie z tłumem i wyszedł szczęśliwie z kościoła. Miał być późniéj pociągnięty do odpowiedzialności, ale z wyjazdem Chrapowickiego i mianowaniem Dołhorukiego, kiedy się zjawił w Wilnie Trynkowski, gdyż kilka nocy krył się na wsi u znajomych, za wstawieniem się wszechwładnéj wówczas Kołkowskiéj, sprawa ta była umorzoną.

Biskup Jędrzéj Kłągiewicz szanował w nim znakomity talent kaznodziejski, nie mógł mu jednak przebaczyć rozwiązłego, jak nazywał życia — gdyż Trynkowski kochał szczerze ze wszechmiar zacną i utalentowaną pannę Różę Parczewską i posiadał jéj wzajemność. Cicha ta i przystojna a starannie ukryta miłość nie robiła bynajmniéj skandalu, a ks. Trynkowski i jako kapłan i jako człowiek był powszechnie szanowany i uwielbiany. Pod naciskiem téj opinji publicznéj, mimo niechęć osobistą, Kłągiewicz musiał się zgodzić na wybór kapituły, podnoszący Trynkowskiego, zaledwo 30 lat wtedy mającego, do godności kanonika katedralnego i instalował go w r. 1836.

Dnia 1 maja 1838 r., w chwilach najboleśniejszych dla mieszkańców Wilna, kiedy właśnie wyuzdana samowola Trubeckiego znękała się nad secinami nieszczęśliwych ofiar jego okrucieństwa, umarł sławny Jędrzéj Śniadecki, najznakomitszy lekarz, profesor chemji a późniéj kliniki, autor genjalnego dzieła „Teorja jestestw organicznych“ i tylu innych. Wielotysięczny tłum przeprowadził zwłoki z domu Franka, a nawet z tego samego mieszkania, w którém przed laty sławny Frank mieszkał, do kościoła św. Jana. Dnia 3 zaś maja odbyło

się solenne nabożeństwo, celebrowane przez biskupa Kłągiewicza i całe wyższe duchowieństwo. Kanonik Trynkowski miał mowę pogrzebową. Podobnego pogrzebu Wilno już nigdy nie widziało. Liczne były pogrzeby późniéj Syrokomli, Malinowskiego, Romera, Śniadeckiéj i wielu innych zasłużonych rodaków, ale liczniejszego nie było nigdy. Ciało dźwigali na barkach profesorowie i studenci aż za Ostrą Bramę, do miejsca, gdzie się rozchodzą dwa gościńce: miński i grodzieński, gdzie właśnie oczekiwał karawan podróżny, ażeby te drogie szczęty przewieść do majątku zmarłego Bołtupia w powiecie Oszmiańskim. Na tém miejscu gdzie studenci rozstali się ze szczętami ulubionego profesora, nasypali oni własnoręczny, wspaniały, do dziś dnia istniejący kurhan, nazwany Andrzejowskim.

Któż nie zna téj natchnionéj mowy Trynkowskiego? Znaną ona jest z wydania Hipolita Skimborowicza (w Warszawie 1840). — A była to ostatnia mowa tego wieszcza-mówcy! Mowa ta, w któréj wypowiedział tyle prawd żywotnych, poruszył tyle kwestji ze stanowiska filozoficznego, do żywego dotknęła ówczesnego prezydenta akademji, a łotra znanego Kuczkowskiego, ale oburzyła i biskupa Kłągiewicza, który nie mógł przebaczyć Trynkowskiemu, że starał się uniewinnić Śniadeckiego za niebywanie w kościele, gdyż, jak dowodnie przekonywał, w tym samym czasie tylu ludzi ratował i dźwigał ze śmiertelnéj pościeli, a samo zjawienie się jego radość i otuchę przynosiły tylu strapionym rodzinom. Kłągiewicz ostrą wymówkę nadesłał kanonikowi na piśmie, ale ten z wielką godnością wytłumaczył się z czynionych mu zarzutów, dodając bardzo trafnie, że przecie i sam ks. biskup jak się to nieraz zdarzało, zmuszał swoją kancelarję do odpisywania naglących papierów, nawet na pierwszy dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Odpowiedź ta jeszcze bardziéj rozjątrzyła biskupa; z téj strony nie mógł się spodziewać opieki i obrony. Kuczkowski zaś już się porozumiał z Trubeckim. Sądząc wszakże, że może nieobecność w Wilnie umorzy tę sprawę, Trynkowski uzyskawszy sekretnie paszport od dziekana ówczesnego miasta Wilna, ks. Jana Menine (co do niego zgoła nie należało), wyjechał do Druskienik. Wkrótce jednak skoro się dowiedziano o miejscu jego pobytu, porwano go tam, do Wilna przywieziono i do więzienia w klasztorze Bazyljanów osadzono. Tu dopiéro zaczęły się najokropniejsze pastwienia się nad nim, które aż do obłąkania go doprowadziły tak dalece, że w zeznaniach pisał sam na siebie nawet to, czego nigdy nie było. W r. 1839 wywieziono go do Mińska, gdzie uroczyście w katedrze zdjęto z niego kapłaństwo, a ztąd już zesłano na Sybir. Mieszkał najwięcéj w Irkucku, odzyskał zupełną przytomność umysłu, był guwernerem u któregoś z gubernatorów miejscowych przy jego dzieciach, lubiony i szanowany przez wszystkich, umarł w 44 roku życia, w 1849 r.

Trynkowski pisał i drukował dużo wierszem i prozą. Znane i znakomite są jego rozprawy filozoficzne, jak n. p. „Genjusz wieków“, „Wróg i lud“, „Widnokrąg naukowy“, „Wpływ filozofji współczesnéj na literaturę w ogólności“ i w. i.

(Koniec obrazu pierwszego).

Kilka uwag o liryce i lirykach naszych najnowszych.

(Dokończenie).

Rozpoczęliśmy rozbiór niniejszy zanim nas doszła wiadomość o mającym się ukazać zbiorku poezji El...yego, sądziliśmy o tym poecie podług pierwszéj jego książeczki, — niechaj nam będzie wolno sąd ten przytoczyć bez zmiany. — Mówiliśmy w części ogólnéj, że dla nowszych liryków naszych piękna forma główną zdaje się być rzeczą, — pan El..y pod tym względem bezsprzecznie stoi najwyżéj, niepodobna go prawie przewyższyć. Język jego tak jest prześliczny, koloryt poezji tak barwny, łatwość rymowania tak wielka, że rozpaczać przyjdzie każdemu, ktoby w tym samym kierunku coś nowego stworzyć zamyślał. Piękność ta odrębny posiada charakter. Zdaje nam się, że jesteśmy w owéj czarownéj dolinie djamentów, do któréj na skrzydłach olbrzymiego orła zajechał Sindibad, awanturniczy podróżnik Tysiąc i jednéj nocy, że w okół nas piętrzą się skały z kryształu, że zdala widnieją góry błyszczącym śniegiem pokryte, że na szczytach tych wyżyn zapalono ognie bengalskie, których stubarwne płomienie złamane w kryształach, odbite od mlecznéj śniegu białości, tworzą nieopisaną, oślepiającą mięszaninę kolorów i blasków. Z czarującą tą formą ma się jak z dekoracją teatru, podnosi ona piękność sztuki, jeżeli takowa sama przez się piękną jest i cenną. El...y jednakże zwodzić się daje niekiedy téj łatwości stwarzania cudownych pozorów, zapomina o nich dla treści. Jako przykład przytaczamy nasamprzód obszerniejszy poemat „Sen grobów.“ Język ten oślepia nas, czaruje, czytamy to z niezmierną rozkoszą, ale w końcu zapytać wypada: Cóż to znaczy, co mówi poeta? Może nas światlejsi pouczą czytelnicy, my na powyższe pytanie żadnéj nie znajdujemy odpowiedzi, nie rozumiemy poety. Poemat ten pochodzi widocznie z jakiéjś Sturm- und Drangperiode, w któréj ciemność zagadkowa i mglista wiernym była obrazem chaosu, jaki w duszy poety panował. Poeta pozwala sobie niekiedy szczególnych rymotwórczych łamanin (n. p. wiersz „Prośba“) ze szkodą prawdziwego natchnienia, stara się nagromadzić jak najwięcéj światła, woni, farb, mgły, róż, brylantów, z poezji stwarza malowidło, zapominając ożywić je myślą (n. p. „Odpoczywa“). Charakterystyczném poezji El..yego znamieniem jest pewna gorycz i niesmak do świata. — Porównaliśmy Bełzę z rozmarzoném, idealném chłopięciem, Ordona z gorączkowym młodzieńcem, któremu świat ten za mały i nazbyt powszedni, który tę bryłę ziemską nowemi chciałby popchnąć tory, — El...y w oczach naszych to człowiek który patrzał kiedyś na świat tak idealnie jak Bełza, który jak Ordon wierzył następnie w siły swoje i ogień młodzieńczy i jak tytan na Olimp się wdzierał, ale zepchnięty z Olimpu popadł w stan zwątpienia i niechęci. Nie jest to ani rozpacz bajronizmu, ani sarkazm zjadliwy Heinego, — stan więcéj pośredni, spokojny, stan znudzenia i cichego żalu do rzeczywistych stosunków, połączony z tęsknotą za krainą wymarzonych ideałów. Poeta w miłość nie wierzy, nie ufa przyjaźni, żal ma do tego świata, który pod maską obłudną pozorów kryje serce pełne zepsucia, żal ma do chrześcijaństwa, które zwróciło ludzkość ku wątpliwéj mistycznéj ojczyźnie niebieskiéj, odrywając ją od szlachetnych, jedynie prawdziwych rozkoszy téj ziemi, które zabiło swobodę jéj ducha groźbą piekieł, nakazem modłów i pokuty — stara Grecja jest ideałem poety, ten świat prostoty, szczerości, poezji i słodyczy życia. Poeta ma słuszność, ale i niesłuszność zarazem — jednostronność jest wadą, lecz niezbędnym wszelkich ideałów warunkiem. Sprzeczać się z poetą, dowodzić że świat starożytny miał

wielkie strony ujemne, świat dzisiajszy zalety niezmierne, byłoby niestósowne i śmieszne. Ideał jest utworem uczucia i wyobraźni, można go odczuć, uwielbiać, można pozostać obojętnym, lecz krytykować rozumem i z historją w ręku nie wolno. — Gorycz ta i zniechęcenie może być w duchowém życiu poety stanem przejściowym, stanem chwilowego rozstroju. — Tak jak organizm ludzki, zanim do sił dojdzie i stałéj konstytucji, przebyć musi epokę przemian chorobliwych, tak i dusza poety różnym podlega cierpieniom. Niechęć, zwątpienie, tęsknota za niejasnym, gorączkowym ideałem, to jedna z tych chorób duchowych. Żaden z wielkich prawdziwie poetów nie był wolnym od podobnych słabości. — przeciwnie, mierność tylko rozpoczyna spokojem i chłodem. Dotychczasowy kierunek El...yego jest więc dla nas zupełnie zrozumiały, o przyszłość tylko nam się obawiać wypada. — Mistrzowie poezji, silni duchem, wolą, a przedewszystkiém pracą poparci usilną i twardą, nie ulegli tym przejściowym cierpieniom, doszli w końcu do téj męzkiéj trzeźwości umysłu i serca, do tego majestatu jowiszowego spokoju, który jest zarazem jedyną prawdziwéj potęgi oznaką. Czy pan El...y przebędzie bez szwanku perjodę chorób duchowych, o tém blizka może przyszłość rozstrzygnie. — Przyszłość ta jest dziś teraźniejszością, — potrzeba nam przyznać bezzasadność obaw i sąd nasz zmienić w tych punktach, w których go drugi tomik nowego wydania w niesłuszny zmienił anachronizm. W tomiku tym uderza nas nasamprzód ustawienie pierwszych poezji. — W rozmowie poetów z publicznością wypowiada poeta otwarcie zarzuty, jakie czasom naszym uczynić uważa za słuszne. Rozmowa ta jest w oczach naszych pojednaniem poety z otaczającym go światem. Poeta długo się gniewał, kaprysił, wstrząsał ramionami, spoglądał na świat ten z pogardą, śpiewał o nim z bolesną goryczą, uciekał w sfery ideałów, aż wreszcie przekonać się musiał o bezskuteczności téj wojny. Publiczność zamiast uznać swe winy, rozsierdziła się również na dobre i całym gradem obwinień zasypała rodzaj poetów. Niezgody téj na drodze namiętnéj niepodobna było zakończyć, zeszli się więc dwaj przeciwnicy i spokojnie, jasno, wyraźnie powiedział jeden drugiemu, jakie w sercu chował urazy. Przyszło w końcu do ustępstw niezbędnych, — publiczność przyznaje bez sprzeczki beznamiętność swoją, „bezkrwistość“, obojętność dla pieśni, dla idealniejszych popędów, — poeta nie przeczy bynajmniéj chorobliwości dzisiejszéj poezji i nie zmieniając zarzutów, postanawia uwzględniać wady tego świata, niemożność szybkiéj poprawy i żyć z nim nadal w pokoju. Postanowienie to widoczne z dalszéj treści drugiego tomiku, — nie znajdujemy wierszyka, któryby dawną przypominał wojnę. Zawarłszy pokój z publicznością, zwraca się poeta do Boga chrześcijaństwa, którego w zapale wojennym kilkakrotnie mocno obraził. Wiersz „U stóp krzyża“ jest wspaniałym wyrazem pokuty za błędy jak „Asceta“, „Juljan Apostata“ w pierwszym popełnione tomiku. Od téj chwili poeta nowe rozpoczyna życie. Spokój, pogoda nawet w chwilach boleści i smutku, uśmiech niekiedy radosny, są cechą dalszych poezji. Następstwem tego przewrotu jest większa objektywność autora. Poeta patrzał dotychczas oczyma własnych namiętności, które mu świat zewnętrzny w niewłaściwych przedstawiały kolorach, dzisiaj zaczyna poznawać prawdziwe jego kształty i barwy, wzniosłą jego, niezamąconą odczuwać poezję. Poezje z motywów ludowych są prześlicznym tego zwrotu owocem. — Pan El...y jest dzisiaj bezsprzecznie największym, najdojrzalszym z poetów, — jest dzieckiem wieku, jednakże — epigonem, lecz wodzem naczelnym.

Pokrewny zwłaszcza dawniéj El...yemu, ale mniéj płodny i mniéj uzdolniony jest Miron. Miron to przedewszystkiém eklektyk, w poezjach jego wyszukać nam trudno jakiś ideał, jakąś myśl główną przewodnią, któraby wszystkim tłem była, łącznikiem i charakterystycznèm znamieniem. Rozrzucona to raczéj garść kwiatów, z których każdy ma barwę i woń swą właściwą, ktore nie z jednego wyrosły korzenia, które związać jednak można i w jednym spoić bukiecie. Poeta pisze zawsze pod wpływem wrażeń chwilowych, pod natchnieniem przeczytanych poezji, jakiéjś myśli którą w rymy ustroić wydaje mu się korzystném, pisze stósownie do tego wierszyki różnego zakroju, — słowem jest dyletantem w poezji. Poemacik większych rozmiarów „Don Juan“ i kilka drobnych poezji napiętnowanych wzgardą, niesmakiem do świata, pozwala nam go zaliczyć do liryków ujemnego kierunku, chociaż ten quasibajronizm nie jest jego wybitnym kierunkiem, nie jest stanu serca wypływem. Miron przejął się niekiedy tym duchem i napisał kilka wierszy w tym guście. Wierszy takich przecięciowo nie mało — nic dziwnego, śmiać się i szydzić najłatwiéj. Bajronizm Mirona w odrębnéj występuje postaci, mięszanina to trywialności z patosem, która estetycznéj wartości utworów niemałą ujmę przynosi. Zdaje nam się, że jesteśmy w teatrzyku jakim jarmarcznym, gdzie nam grają sztukę tragiczną, — parodja to rozumie się straszna, szydzimy, śmiejemy się z rzeczy, nad któremi zapłakać wypada, — otóż tego chciał właśnie poeta. Poemat jego „Don Juan“ tą właśnie pisany metodą, — sposób to, którego z niezmiernym talentem użył głównie Ryszard Berwiński na wielką dla młodszych pokusę, sposób, który dla tego, że się blizko styka z parodją i prowadzi do zgubnéj maniery wyszydzania wszystkiego na świecie, podnioślejszym umysłom nie może być tłomaczem uczucia. — Jest daléj drugi sposobik, dosyć częsty u pana Mirona, więcéj jeszcze podejrzanéj natury. Poeta zwabia czytelnika w jakieś czarodziejskie ustronie na to tylko, aby rozmarzonemu przykrą wypłatać niespodziankę, wyskoczyć na niego z za krzaka, wystraszyć uderzeniem i krzykiem. Wiersz się zaczyna bardzo poetycznie, kończy trywialnym dowcipem, rozczulony z początku czytelnik odbiera orzeźwiającą kąpiel niespodzianie i to całe zadanie wierszyka. Pan El...y nie jest wolnym od podobnych błędów. Znana wam czytelnicy zapewne „Legenda pierwszéj miłości“ — deklamują ją na koncertach i zebraniach, smutnie to świadczy przedewszystkiém o estetycznym guście publiczności, — poeta żarty z niéj stroi, publiczność cieszy się nad tém. Sztuczki te dowodzą najlepiéj, że ten quasibajronizm dzisiejszy, jest dla wielu prostą manierą, że się przeżył i schodzi do grobu.

Przejdźmy w końcu do jednego ze starszych poetów, którego nie wielkie zdolności, ale chęci szczere i praca uporna uwzględnić nam każą koniecznie, Jest nim Felicjan Faleński. Felicjan jest pozytywistą jak Bełza, a pracuje we wszystkich gałęziach: opisy, sielanki, marzenia młodzieńcze, legendy, żartobliwe poezje, — wszystkiego zapas niemały. Wszechstronność ta właśnie ważniejszym stała się powodem słabości pojedyńczych utworów; gdyby poeta był wybrał jeden dział tylko, odpowiedni swoim zdolnościom, byłby przynajmniéj w tym jednym do większych doszedł rezultatów. Działem tym, podług naszych zapatrywań, byłby dział epicznéj i opisowéj poezji. Felicjan to dusza więcéj objektywna, bez wrodzonego uczucia, bez polotniejszéj wyobraźni, — materjał nie na poetę. Felicjan uwziął się jednak zostać koniecznie poetą i z uznania godną wytrwałością do niewdzięcznéj rzucił się pracy. Trzeba było sztucznym sposobem rozbudzić iskrę uczucia, zimną refleksją zastąpić polot wyobraźni, starać się o manierę i formę i brak ducha takową zastąpić. Niestety w dziedzinie poezji olbrzymie nawet wysilenia nie zdolne zastąpić talentu. Wszystkie też poezje Felicjana noszą ślady ciężkiego porodu, — słabe to, sztuczne, bezbarwne i zimne, maniera zamiast natchnienia, praca zamiast iskry uczucia. Zapracowany ten zapas wystarcza ponie-

kąd dla poezji czysto przedmiotowéj, — opisy dla tego i historyczne legendy Felicjana największą jeszcze względną posiadają wartość, lecz w dziedzinie liryki czystéj, gdzie poeta czerpać ma ze siebie, na niezbędnych mu zbywa warunkach. Najsmutniejsze czynią jednak wrażenie poezje lekkiego zakroju; żartować z duszą ciężką jak ołów, to zadanie nad siły człowieka. Felicjan jest przedstawicielem tego zastępu dusz niepowołanych, które gwałtem chcą siąść na Parnassie; w poezjach jego przedstawia się najlepiéj ociężałość dodatniego liryki kierunku. —

Kończymy ze świadomością zupełną, żeśmy milczeniem naszém niejednemu wyrządzili krzywdę. Nie piszemy jednak literatury, skreśliliśmy szkic tylko, kilka uwag i spostrzeżeń zebranych, mamy więc prawo znaczniejsze tylko postacie przytoczyć czytelnikom za przykład. Zakończyć musimy odpowiedzią na pytanie, które logicznem jest rozbioru naszego następstwem: Liryzm nasz przebył epokę rozkwitu, dzisiaj jest w widocznym upadku. Jakież więc w przyszłości obierze kierunki, w jakiéj się odrodzi postaci? — lub czy odrodzi się jeszcze, czy czas liryki nie przeminął dzisiaj bezpowrotnie, jak minęły wieki Epopeji? — Często bardzo wśród publiczności słyszymy zdanie podobne: Liryzm, powiadają, odpowiadał młodzieńczéj epoce narodu, dzisiaj dojrzewamy na mężów, dzisiaj dramat tylko na czasie. Ulubione to porównanie narodu z dziejami jednostki, łudzi tylko zewnętrzną symetrją, kuleje jak każde z porównań. Naród ma bezwątpienia pewne stałe perjody istnienia, — wiek dziecinny, młodość, wiek męzki, ale w obrębie tych epok przechodzi szereg przeobrażeń, rozkwitu, wzrasta w potęgę, słabnie na czas pewien, upada aby powstać, odrodzić się w nowych warunkach. Każdemu z tych wstrząśnień towarzyszy liryka, jako bezpośredni objaw uczucia budzącego się w duszy narodu. Czy w tym, czy w owym kierunku rozkwita ona zawsze w tych czasach, w których serce narodu pod wpływem wypadków głośniejszym zabije tętnem, towarzyszy wszelkim jego radościom i bólom. Jaki u nas przyszły kierunek liryzmu? Odpowiedź na to pytanie przyszłość nam tylko dać może, charakter wypadków i prądów, jakie nas wyrwą z dzisiajszéj apatji i w inne strony poniosą.

J. M.

MAM DWA DOMY.

Fraszka sceniczna w 3 aktach

przez

Włodzimierza Wolskiego.

(Ciąg dalszy.)

Scena X.

Ciż prócz Stanisława i Kajetan.

Wojciech.

Cóż to pan za soty gimnastyczne egzekwujesz?

Klimcia (tłumiąc śmiech na stronie).

Staś musiał mu coś po swojemu powiedzieć.

Kajetan (zmięszany, kłania się nieśmiało w głębi. N. s.).

A mój Boże — dbając zawsze o reputację. Dowiedział się — zginąłem, Panna Klementyna tutaj, kiedy cofając się za żywo.

Profesor.

Czekamy właśnie na pana, panie Kajetanie! Nie spotkałeś przypadkiem Damazego, który nas na walne posiedzenie z bocianką zaprosił.

Kajetan (jeszcze zmięszany).

Owszém — panie profesorze, wychodząc z kościoła, to jest z handlu win i korzeni z pliką listów zastawnych pod pachą, to jest niby on wychodząc. (N. s). A mój Boże! nie wiem co mówię... Śmiało, odważnie! Odważnie, śmiało! (Głośno). Wychodząc, wspomniał, iż zaraz, zaraz —

Profesor.

Przyjdzie, — bardzo dobrze. Przybliż-że się pan do nas!

Kajetan (przybliża się machinalnie i nie podnosząc oczu kłania się).

Moje najgłębsze uszanowanie! (N. s). Właśnie mając przy sobie morele i brzoskwinie — gdzież teraz ofiarować? Mój Boże, mój Boże!

Wojciech.

Kochana dzieweczko! Ambetuję cię już Bóg wie po który raz, musisz mi jeszcze koniecznie zaśpiewać szansonetkę o ułanie.

Klimcia.

Jakto? stryjku — tutaj?

Wojciech (ciszéj).

Nie — nie. Zostawimy Antka, niech do przybycia Damazego tripotuje z tym gutaperką i pójdziemy na górę do pjano. Śliczna szansonetka! (Nucąc pod nosem).

Jedzie ułan — a wśród drogi
Stanęła kochanka.
Ach mój Jasiu! bolą nogi,
Weź mnie na kasztanka.

(Mówi). Zaraz wrócę... stary Antku.

Profesor.

Profesorze...

Wojciech.

Ma foi — profesorze!

Scena XI.

Profesor i Kajetan.

Profesor.

Siadaj-że pan! Czy pana głowa boli, że ciągle smarujesz się po czole?

Kajetan (n. s.)

Nie wiedząc na co złożyć... chyba wierszyki (wydobywa pulares). Przepraszając pana profesora, że mu przedłożę do przejrzenia wierszyki dla Fipcia, o które mnie prosiła pani Rachmistrzyni z nadmienieniem, aby przy końcu dodać dwa o zdrowiu i pomyślności. Chodząc

po ulicy, dodałem rzeczone, prosząc o sekret pana profesora...

Profesor.

Pokaż pan! (Czyta). Najukochańszy stryju! (Czyta cicho, potém głośno).

Wciąż błagam Boga, co na wysokości,
Dla stryja zdrowia oraz pomyślności —

(Oddając pulares). Bardzo dobrze! Niech panu Bóg da zdrowie! (N. s). Imiesłów osobliwy naprawił mi humor swoją składnią i rymami.

Kajetan.

Czy pan profesor niema co poprawić? Zaklinając, żeby nie oszczędzał. Oto ołówek.

Profesor (n. s.)

Wypada mu jednak poprawić. Pokaż pan! Zdanie uboczne co na wysokości trzeba opatrzyć dwoma przecinkami.

Kajetan.

Serdecznie dziękując...

Profesor.

Za zaufanie chcę panu odpłacić zaufaniem. Czy pan umiesz dochować tajemnicy?

Kajetan.

Zaręczając słowem honoru panu profesorowi.

Brofesor.

Pamiętaj-że pan słowa dotrzymać! Bardzo dobrze. Kolega pański biórowy, pan Stanisław, oświadczył się dzisiaj kapitanowi o rękę panny Klementyny a raczéj prosił, żeby go poparł u państwa Damazych.

Kajetan (n. s.)

Ach — święty Kajetanie, patronie mój! (Głośno). A panna Klementyna?

Profesor.

Nie mówiłem z nią w tym przedmiocie. — Przypuściwszy jednak, żeby zezwalała, żeby go kapitan poparł, bardzo dobrze — żeby nawet Damazostwo skłonili się...

Kajetan.

Co do tego — nieprzypuszczając, panie profesorze!

Profesor.

Wkrótce pan innego będziesz zdania. Przypuściwszy więc to wszystko, chciałbym wiedzieć od pana, jak się istotnie pan Stanisław prowadzi?

Kajetan.

Mówiąc prawdę, wcale nieszczególnie, bacząc mianowicie, iż stara się o tak porządną panienkę...

Profesor.

Bardzo dobrze. Czy nie kłamie on czasem?

Kajetan.

Prawdę mówiąc, często mija się z prawdą.

Profesor.

Bardzo dobrze. Skłamał mi naprzykład, żeś pan miał zaintrygować u jakiéjś Pfefferkuchen o wysłanie go daleko w głębokie Podlasie, na nędzną posadkę. Czy to prawda?

Kajetan (n. s.)

A mój Boże! Dbając zawsze o reputację — zginąłem. Zdradził mnie Damazy, albo pani Rachmistrzyni, nie daruję.

Profesor.

Czy możesz pan zaręczyć słowem, że to nieprawda?

Kajetan (cicho).

Nie sądząc, żeby pan profesor wymagał słowa...

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Namówili biedaka, wlazł w brudy, lecz niema odwagi a raczéj bezczelności brudów. I to jeszcze wiele znaczy. (Głośno). Mniejsza! co najważniejsze — to że pan Stanisław lekkomyślny i marnotrawca.

Kajetan.

Dając słowo honoru — utracjusz okropny. Miał aż cztery areszty na djecie.

Profesor.

Gotów nie dopominać się u Damazego o posag panny Klementyny, aby tylko zezwolenie na ślub uzyskać.

Kajetan (n. s.)

A mój Boże! Wiedząc jak Damazy i pani Rachmistrzyni lubią pieniążki.

Profesor.

Mówiąc między nami, kto wié, czyby tym sposobem nie ujął państwa Damazych?

Kajetan.

Bacząc mianowicie a w zaufaniu, że procentowicze. Kto wié, kto wié!

Profesor.

Bardzo dobrze. Nie sądzę jednak, żeby kapitan, który ciężko na chleb pracował i wartość pieniędzy umie cenić, mógł potakiwać takiéj fanfaronadzie.

Katetan.

Oczewiście fanfaronadzie. Rodzice trzymając dzierżawę a mając dużo dzieci, bardzo mu szczupło pomagają. On zaś dostając czasem od nich sto złotych, za parę godzin strwoni, mając się za panicza.

Profesor.

Zresztą nie jego to własność, niema prawa rozrządzać cudzą. Gdybyś pan znajdował się w jego położeniu, nigdybyś, ręczę, takiego szaleństwa nie popełnił.

Kajetan.

Ja? panie profesorze. — Wyznając w zaufaniu, iż tak istotnie kocham pannę Klementynę. Ja? Pragnąc aby jéj na niczém nigdy nie brakło, aby mając mięszkanko jak pieścidełko, ubierając się jak lalka, nawet nie zajmując się kuchnią, praniem i prasowaniem, którém jużbym sam zawiadował, jeśliby chciała pójść za mnie. — Ja? A gdybym umarł, posiadając nie wiele, cóżby dla wdowy zostało?

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Biedne stworzenie, szczerze rozkochane! (Głośno). Chociaż panna Klementyna sprzyja Stanisławowi, chociażby Damazowstwo zezwolili na mocy owych ustępstw co do posagu, wszystko jednak zawisło od kapitana, którego synowica kocha i wierzy jak w credo i którego zdanie stanowczą ma wagę u Damazych.

Kajetan.

Kapitan pracując ciężko na życie przez całe życie, musi być oszczędny. (N. s.) Musi lubić pieniążki jak Damazy.

Profesor.

Zapewne.

Kajetan.

Bardzo zawsze szanując pana kapitana, tém bardziéj go szanuję obecnie, wiedząc sam dobrze, co praca i jak ciężko składać grosz do grosza. (Nagle). Ach — panie profesorze! Znajdując się w tak poufałych stosunkach z kapitanem i wywierając wpływ na pannę Klementynę, gdybyś pan za mną parę słów...

Profesor.

Nie sądzę, żebym dopomógł panu. Panna Klementyna sprzyja Stanisławowi, a wszystko zależy od kapi-

tana, który ją bardzo kocha. Wspomnieć przyrzekam, pod jednym warunkiem.

Kajetan.

Jakim?

Profesor.

Gramatycznym. Abyś pan w mowie używał mniéj imiesłowów osobliwych na *ąc*.

Kajetan.

Przepraszając, czy na serjo pan mówi?

Profesor.

Najzupełniéj na serjo.

Kajetan (n. s.)

Prawdę mówiąc, profesor dziwak albo pedant.

Scena XII.

Ciż i Damazy.

Pan Damazy (zadyszany).

Profesorku, Kajciu — przepraszam, żeście nieco czekali. (Siada). Alem téż zchodzony, zmęczony, strudzony, spocony.

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Czy i Damazy zachorował na imiesłowy?

Pan Damazy.

Gdzież Wosio?

Kajetan.

Poszedł do pantaljonu z panną Klementyną.

Profesor.

Która mu śpiewa po setny raz piosnkę ulubioną o ułanie.

Pan Damazy (sentencjonalnie).

Gdyby nie ta nieszczęsna rewolucja, Wosio zostałby już pewno najmniéj pułkownikiem od ułanów. Pułeczek kawalerji — to — starostwo, profesorku! Kilkadziesiąt tysięcy czystego dochodziku...

Profesor.

W ruskiém wojsku.

Pan Damazy.

Czemuby i nie w naszém — godziwego dochodziku?

Kajetan.

Mówiąc w tym przedmiocie z synowcem jednego pułkownika od huzarów, wyliczył mi dochodu stryja 25 tysięcy rubli, czyli okrągłe 166,666 złp. i gr. 50.

Profesor.

Bardzo dobrze. Dowód dzielności wojska, w którém oficerowie lepiéj jeszcze ciągną z żołnierzy, niż u nas niektórzy urzędnicy z interesów.

Pan Damazy.

Nie wszyscy profesorku dobrodzieju...

Profesor.

Powiedziałem téż niektórzy, panie Damazy! (Słychać Wojciecha nucącego pod nosem za sceną).

Jaś się schylił, szabla brzękła,
Furkła chorągiewka —
I na konia nieulękła
Siadła czarnobrewka.

Scena XIII.

Ciż — Wojciech i Klimcia.

Pan Damazy.

Wosiuniu kochany! (Całuje go w oba policzki). Siadaj-że, prezyduj! Klimciu! poproś z łaski swojéj stryjenki, żeby się do nas pofatygowała, nie zapomnijcie potém o kawie i bociance z żółtym laczkiem.

Klimcia (z cicha do profesora).

Nasza prośba — panie profesorze.

Profesor (tak samo).

Według zobowiązania — poprę imiesłowa osobliwego.

Klimcia.

E — niedobry pan dzisiaj. (Z cicha do Wojciecha). Stryjku! przypominam prośbę naszą...

Wojciech.

Oui — oui — ma foi — potém. (Klimcia odchodzi).

Pan Damazy.

Profesorze szanowny, Kajciu — zajmijcie miejsca. (Po chwili) Prosiłem właśnie moich przyjaciół na świadków akciku familijnego, jaki bezzwłocznie po przybyciu kapitana miałem odbyć — atoli — atoli — poczekajmy chwilkę na Pelcię.

Profesor.

Bardzo dobrze.

Wojciech.

Ma foi — jeśli masz do mnie jaki interes, bracie Damazy, bez długich preambułów! Nie deranżuj się i wal z kopyta!

Pan Damazy (wstając).

Najukochańszy bracie! Kiedy zbiegiem najnieszczęśliwszych okoliczności, zmuszony zostałeś wyjść za granicę i tamże jako emigrant przebywać, zgasł, jak wiesz, ś. p. brat nasz Jan, świeć panie nad jego duszą, ojciec Klimuni... (Nagle). Wypada jeszcze poczekać na Pelcię...

Profesor.

Bardzo dobrze.

Wojciech.

Cóż to za afera?

Kajetan.

Otóż i pani Rachmistrzyni.

Scena XIV.

Ciż i pani Damazowa (wyfjokowana).

Pan Damazy (całuje żonę w czoło i w rękę).

Właśnie czekaliśmy na ciebie, duszko! Siadaj przy mnie.

Pani Damazowa.

Między tobą, kotku, i panem kapitanem. (Siada*).

Profesor (z cicha do Wojciecha).

Twoja syrena wypstrzyła się nie na żarty.

Wojciech.

Czuć ją okropnie miuskiem.

Profesor.

Piżmem.

Pan Damazy (wstając).

Prosiłem właśnie pana profesora i pana Kajetana na świadków akciku familijnego, jaki bezzwłocznie po przybyciu kapitana odbyć zamierzyłem — atoli...

Pani Damazowa.

Nie chcieliśmy zaraz po przybyciu trudzić pana kapitana sprawozdaniem nudnych rachunkowości.

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Rozumiem.

Wojciech.

Aborduj śmiało siużet, bracie Damazy!

Pan Damazy.

Najukochańszy bracie! Kiedy zbiegiem najnieszczęśliwszych okoliczności zmuszony zostałeś wydalić się za granicę i tamże jako emigrant przebywać, zgasł w 1842

*) P. Damazy, p. Damazowa, Wojciech, Profesor, Kajetan.

roku ś. p. brat nasz Jan, świeć panie nad jego duszą — ojciec...

Kajetan.

Panny Klementyny.

Pan Damazy.

Zostawił po sobie oprócz szczupłego spadku dla córki, jaki na procencik umiarkowany ale pewny i na pierwszym numerze hypoteki pomieściłem...

Kajetan (cicho do profesora).

Mówiąc prawdę — kłamstwo.

Profesor (tak samo).

Bardzo dobrze — potém.

Pan Damazy.

Zostawił nadto maleńką sumkę, przypadającą na mnie ze sprzedaży kamieniczki po naszéj matce, świeć panie nad jéj duszą! oraz takąż samą dla ciebie, najukochańszy Wosiu!

Pani Damazowa.

Nieboszczyk pan Jan zalecił najkategoryczniéj przed smiercią, żeby utaił ten fundusz do lepszych czasów, gdyż działo się to za najsurowszych konfiskatów.

Pan Damazy (n. s).

Wyborny koncepcik! (Głośno). Tak jak mówisz, pieszczotko! Kilkakrotnie przestrzegał.

Profesor.

Bardzo dobrze. (N. s.) Jejmości stante pede kłamstwo przyszło do głowy, bo jegomość śpiewał mi przedtém inaczéj.

Wojciech.

Eh bien — bracie?

Pan Damazy.

Więc wypełniając wolę spadkodawcy, świeć panie nad jego duszą, fundusz rzeczony w ilości 5,000 złp. czyli 750 rs. w listach zastawnych zachowałem u siebie.

Pani Damazowa.

Serce nam się krwawiło, jak-em panu bratu wspominała, że na pańskie żądanie przesłać nie mogliśmy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Dr. J. Girgensohn. Kritische Untersuchung über das VII. Buch der Historia Polonica des Dlugosch. Göttingen. 1872.

W ostatnich dwóch latach powstały w najznakomitszym dziś w Niemczech historycznym seminarzu profesora Waitza w Getyndze dwie sumienne, a dla dziejów naszych bardzo ważne prace. Nie od rzeczy więc będzie zwrócić na nie w tych kilku słowach uwagę i uwydatnić w zarysie główne ich rezultaty.

Na szczególną zasługuje uwagę praca Dr. Girgensohna. Przyznać trzeba niestety, iż mimo krytycznego kierunku, jaki pracę dziejopisarską u zachodnich naszych sąsiadów całkowicie opanował, powaga starego Długosza na szkodę naszéj historji zbyt mało jest jeszcze zachwianą. Naśladując podługoszowych historyków naszych, polegają często i najnowsze, wiele chwalone opracowania ślepo na dziele uczonego dziejopisarza z XV wieku, nie uwzględniając świadectw wcześniejszych, które jemu za źródło służyły. — Znakomitego A. Z. Helcla spotkały cierpkie wyrzuty za to, że się targnął na powagę Długosza, a kiedy niedawno wyszedł polski przekład dzieła jego, cieszono się, iż sędziwy nauczyciel królewiąt będzie teraz pouczać i nasze pokolenie przystępnym językiem o przeszłości narodu.

Bezwzględnym wielbicielom Długosza radzimy przeczytać pracę Dr. Girgensohna, a jeżeli nie zaprzeczą, że historja przedewszystkiém do prawdy dążyć powinna, przyznać będą musieli, iż praca historyczna z dzieła Długoszowego tylko z największą ostrożnością korzystać może.

Autor ograniczył swe studjum tylko na siódmą księgę Długosza, obejmującą dzieje lat 1241—1294, co całéj pracy nadało nieco fragmentaryczny charakter; mimo to zawiera ona dość wcale ciekawych przykładów, które na cały charakter Długoszowego dzieła i jego źródłową wartość, jasne rzucają światło. Rozdział wstępny poświęcony jest ogólnéj charakterystyce Długosza. Według własnych słów jego, zawartych w liście dedykacyjnym do Zbigniewa Oleśnickiego, przedstawia autor zapatrywania Długosza na zadanie historji i pracę dziejopisarską; słusznie uwydatnia ustęp, w którym się Długosz, mimo pięknych poprzednich zdań teoretycznych, sam do subjektywności przyznaje, oświadczając, że licznych świadectw, które mu się nie podobały, nie uwzględnił, ponieważ na pewne „czyny lub mowy“ niekorzystne światło rzucały. Również zwraca autor uwagę na inny ustęp, ciekawy z powodu pragmatyzmu Długosza; wręcz oświadcza on tutaj, że uważał sobie za obowiązek, dla przyjemności czytelnika, suche świadectwa owych źródeł szeroko rozprowadzać, upiększać i malowniczo przedstawiać. Zresztą ogranicza się jednak autor na przytoczeniu kilku przykładów, niekorzystnie świadczących o historycznéj metodzie Długosza; napróżno jednak szukalibyśmy treściwéj a systematycznéj charakterystyki pisarskich właściwości naszego historyka, która byłaby niejako esencją całego badania. Z ostatecznym wynikiem wstępnego rozdziału, oceniającym źródłową wartość Długosza, zgodzić się trzeba jak najzupełniéj; na świadectwo jego powoływać się można tylko wtedy: 1) jeśli przytacza w całości text dokumentu, 2) jeśli wyraźnie daje się rozeznać, iż jakiś ustęp polega na nieznaném nam świadectwie dokumentowém lub historjograficzném; w obu razach przecież należy doń przystępować z wielką ostrożnością.

Zadaniem pracy całéj jest wykryć źródła, jakich Długosz używał do skreślenia VII księgi swego dzieła, w każdym poszczególnym ustępie i na pojedyńczych szczegółach wykazać, jak się z temi źródłami obchodził. W pierwszéj części wykazane są wszystkie świadectwa znanych nam źródeł, druga zajmuje się ustępami, które na zaginionych świadectwach źródłowych polegają. Źródła historjograficzne uporządkowane są według krajów, do których należą; najpierw opisuje autor wiadomości wyjęte z kroniki Boguchwała i Godysława Paska i pokrewnych z nią roczników. Odbiegłszy tutaj od właściwego przedmiotu, zapuszcza się autor nieco w krytykę saméj téj kroniki i wykazuje za pomocą zestawienia kilku ustępów bliskie jéj pokrewieństwo z t. z. „Annales Posnanienses.“ Trudno się zgodzić na przypuszczenie, iż może Długosz korzystał z wspólnego źródła téj kroniki i pokrewnych z nią roczników, gdyż pewną jest rzeczą, że sama kronika była mu znaną. W ten sam sposób

wykazane są daléj ustępy polegające na obydwu rocznikach krakowskich (kompilowanym i kapitulnym) i t. z. „Annales Polonorum", roczniku świętokrzyskim, t. z. „Chronic. princ. Polon." i żywotach św. Jadwigi i świętego Stanisława. W sprawie stosunku między Długoszem a t. z. „Ann. silesiaci compilati", które już po r. 1457 powstały, uchyla się autor od wypowiedzenia sądu. Niektóre miejsca Długoszowego dzieła, które na pozór na tym roczniku się opierają, dają się podobno sprowadzić do wspólnego źródła, jakiém mogły być zaginione dziś dawniejsze śląskie zapiski rocznikarskie. Z zagranicznych źródeł zestawione są w ten sam sposób zużytkowane przez Długosza miejsca z kroniki pruskiéj Jeroschina, którego nasz historyk w łacińskim przekładzie posiadał, z Wiganda, z czeskiéj kroniki Pulkawy, z kroniki budzińskiéj i z historji miasta Spalato archidjakona Tomasza. Sumienny ten wykaz kończą ustępy o wydarzeniach z dziejów powszechnych, wyjęte z najpopularniejszych wówczas podręczników Marcina Polaka i Ptolomeusza z Luki. Na końcu pierwszéj części znajduje się obok wykazu kilku wiadomości czerpanych z napisów na nagrobkach książąt śląskich, chronologiczny spis 23 ustępów VII księgi Długosza, które polegają na znanych nam dokumentach. Na dwóch przykładach wykazuje autor, że i w tym względzie dopuszczał się Długosz licznych błędów i niedokładności.

W drugiéj części znajduje się spis wszystkich miejsc, zawierających wiadomości o konkretnych faktach a nie polegających na znanych nam świadectwach źródłowych. W 28 miejscach upatruje autor źródła dokumentowe, w 55 innych historjograficzne świadectwa lub ustne podanie; w niektórych miejscach drugiéj kategorji spostrzega niejaką analogję z ruskim letopisem hipacowskim. Już ten sam wykaz dowodzi, że dzieło Długoszowe, jako skarbnica licznych zaginionych świadectw źródłowych, mimo wszelkich błędów nie małą posiada wartość; że jednak niezmiernie ostrożnie trzeba się z niém obchodzić, przekonać się można z ciekawego ekskursu o malowniczym ustępie, w którym Długosz bitwę lignicką opisuje.

Za zmudną i sumienną tę pracę należy się wdzięczność autorowi; będzie ona niezbędnym i wielce szacownym środkiem pomocniczym dla każdego, kto się zajmować będzie ustępem z dziejów naszych, w VII księdze Długosza zawartym. Również i do poznania charakteru całego Długoszowego dzieła jest ona ważnym przyczynkiem; powinniśmy je już raz posiadać w krytyczném wydaniu, rozczłonkowane w adnotacjach na pojedyńcze elementa w ten sposób, jak to Dr. Girgensohn w swéj pracy uczynił. Z tém wszystkiém dodać należy jednak dwie uwagi. Zadziwić musi każdego, że autor zgoła nie używał Długoszowego „Liber beneficiorum dioecesis Cracov.", który często tak wybornie przydaje się do krytyki jego głównego dzieła. Powtóre zapisać wypada, że w całéj pracy niezmiernie razi nieświadomość języka polskiego, polskiéj geografji i literatury historycznéj. I tak nie zna autor prac Szajnochy o pierwszym napadzie Mongołów (w I t. Szkiców hist.), cytuje widocznie z drugiéj ręki: Bielowski (!) Katalog biskupów krakowskich (str. 74). Z pomiędzy mnóstwa błędów w pisowni imion własnych dość zapisać (str. 29): Die Regierung L a s s k o s des Schwarzen in S i r m o z.

Dr. M. Perlbach. Die ältere Chronik von Oliva. Göttingen. 1871.

Praca Dr. P e r l b a c h a nie odnosi się bezpośrednio do naszych dziejów, jéj przedmiot stanowi jednak kronika, która w wielu miejscach jest szacownem źródłem do historji stosunku Polski do Pomorza i Zakonu niemieckiego w XIII i XIV wieku. Nie podając więc obszernego referatu, ograniczę się tylko na uwydatnieniu głównych i najwięcéj nas obchodzących rezultatów téj pracy. W pierwszéj części rozświeca autor sprawę obszernego działu kroniki oliwskiéj, zajmującéj się pierwotnemi dziejami Zakonu niemieckiego i walką jego z Prusakami aż do r. 1256. Część tę kroniki oliwskiéj uważał jéj wydawca, Dr. T e o d o r H i r s c h, za najdawniejszy pomnik kronikarski do dziejów pruskich, spisany niedługo po r. 1260, a późniéj dopiéro w kronikę oliwską wpleciony. Zdaniem jego opierał się na niéj P i o t r de D u s b u r g, którego dotychczas uważano ogólnie za najdawniejszego pruskiego kronikarza. Dr. Perlbach porównywa krytycznie text kroniki oliwskiéj z tektem Jeroschina, który łacińską kronikę Dusburga na niemiecką rymowaną kronikę w XIV wieku przerobił, a wykazawszy, iż kronika oliwska większą zgodność z Jeroschinem niż z Dusburgiem okazuje, dowodzi z niewątpliwą ewidencją, że „najdawniejsza historja Zakonu" w kronice oliwskiéj napisaną została po r. 1341 i opiera się przeważnie na Jeroschinie; tylko niektóre wiadomości w niéj zawarte są oryginalnemi i polegają na starszych źródłach.

Drugi rozdział zajmuje się składem kroniki oliwskiéj i wykazuje, że właściwa kronika i obszerny epizod o najdawniejszéj historji Zakonu są dziełem jednego autora; epizod został późniéj napisanym i do kroniki wciągniętym.

Trzeci rozdział poświęcony jest właściwéj kronice oliwskiéj. Co do nieznanego autora pewnym jest tylko fakt, że był znacznym dostojnikiem oliwskiego klasztoru; z zestawienia licznych ustępów wynikają ciekawe i dla krytyki całéj kroniki ważne konkluzje o zapatrywaniach politycznych i stanowisku jego. Dokładnie oznaczony jest czas, w którym kronika powstała; główna jéj część spisaną została r. 1348, dokończenie w dwa lata późniéj. Dalsza część trzeciego rozdziału rozbiera pojedyńcze ustępy kroniki, wykazując, iż jéj źródłami były: ustne podanie, dokumenta, napisy i kronika Jeroschina. Z pomiędzy różnowzorych opowiadań o domowéj historji klasztoru, o dziejach Pomorza i Zakonu niemieckiego, odnosi się wiele ustępów bezpośrednio do dziejów polskich. Znajdujemy w niéj wiadomości o ostatnich udzielnych książętach wschodniego Pomorza i ich stosunku do Polski, o naszym Przemysławie II, o obydwu Wacławach i ich względach dla klasztoru, o hołdzie, jaki Pomorze wschodnie Łokietkowi złożyło, o zatargach jego ze Święcami, o wojnie z margrabiami brandenburgskimi i podstępném zajęciu Pomorza przez Krzyżaków. Daléj opowiada kronika o zatargach między Polską a Zakonem po zajęciu Pomorza, o walkach Łokietka z Krzyżakami, o bitwie płowieckiéj i rozejmie z r. 1233.

Z czasów Kazimierza W. odnoszą się do dziejów naszych tylko wiadomości o wielkiéj litewskiéj wyprawie króla Jana czeskiego z r. 1244 i 45 i o walkach Krzyżaków z Olgierdem i Kiejstutem.

Ostatni rozdział zajmuje się późniejszemi dziełami historycznemi do XVI wieku, które z kroniki oliwskiéj wiadomości czerpały; ciekawym jest tu obszerny ustęp o stosunku Długosza do téj kroniki, uzupełniający pracę Dr. Girgensohna.

Nadzwyczaj sumienne i krytyczne dziełko Dr. Perlbacha należy do najlepszych prac tego rodzaju, jakie się w ostatnich latach w Niemczech ukazały; niedługo po jéj wyjściu odkrył prof. H. Z e i s s b e r g we Lwowie najstarszy i najlepszy manuskrypt kroniki oliwskiéj, w obec którego niejedna konjektura Dr. Perlbacha przybrała wartość pewnego faktu. Odkrycie to dało mu powód do napisania uzupełniającego artykułu o kronice oliwskiéj w IX tomie czasopisma „Altpreussische Monatsschrift."

St. Sm.

TEATR.

Przypadkiem byliśmy świadkami nieskończenie pociesznéj sceny — nie w teatrze, lecz na wielkiéj arenie publicznego życia.

„W okropnych żyjemy czasach", odezwał się ktoś z pełnym boleści i zgrozy wykrzyknikiem, „cóż to za niemoralne sztuki dają teraz w teatrze!"

„Istotnie", jęknął ktoś drugi — „nie dość im Offenbacha, Augiera, Sardou, trzeba było wynaleść jakiegoś Vacquerie i Ponsarda; nie dość im Dumasa syna, poszukali sobie jakiegoś czarnego Dumasa (Dumanoir), żeby nas dręczyć i poniżać."

Nie będziemy przytaczać dalszych lamentacji na temat o tempora o mores, a powiemy wprost łaskawym naszym czytelnikom, że dotyczyły one jednego ze znakomitszych publicystów francuzkich Augusta Vacquerie, którego głośny a na głęboko moralnéj myśli osnuty dramat „Syn" (Le fils) utrzymywał się długo na repertoarze pierwszéj sceny świata, bo Comédie française.

Nie moralizującymi frazesami, lecz w żywo przed oczami widza rozwijającéj się scenicznéj akcji wykazuje autor do jak smutnych rezultatów doprowadza naruszenie świętości małżeńskiego pożycia, jak potworne skutki wynikają choćby z chwilowego zapomnienia się kobiéty. Doprowadziwszy temat swój do zenitu powikłań dramatycznych, rozwięzuje go p. Vacquerie wzniosłą gotowością Syna poświęcenia całéj przyszłości dla uratowania czci matki, dla zakrycia jéj błędu i chrześcijańską skruchą matki, która czyniąc publiczne wyznanie swéj winy, ratuje ukochanego syna.

Dla wykonania tego pięknego dzieła trzeba umiejętnéj interpretacji ze strony artystów, która z wyjątkiem p. Bendy (Mauvergnat) zostawiła wiele do życzenia. Za przyczynę tego nie wahamy się podać niestósowną obsadę ról.

Następny wieczór przyniósł nam miluchną i na wszystkich europejskich scenach chętnie widzianą komedję pp. Bayard i Dumanoir „Wicehrabia de Letorières" czyli „Sztuka podobania się."

Sztuka ta zbyt dobrze i powszechnie jest znaną, abyśmy ją od śmiesznego zarzutu niemoralności bronić mieli — jedyne zaś co jéj zarzucić można, jest bezprzykładnie nędzne tłomaczenie, o poprawienie którego dyrekcję naszą usilnie prosimy. Sztuka ta ma tę ważną zaletę, że napisana na popis dla roli tytułowéj, nie spycha drugich na podrzędne stanowisko i umie zainteresować całością, barwnemi sytuacjami i ciągłém ożywieniem.

Tytułową, czyli raczéj popisową rolę grała panna Żeromska, młoda artystka pełna talentu, przygotowująca swoje role z widocznym zamiłowaniem i należytém zrozumieniem. Ważna ta okoliczność pozwoliła jéj używać zupełnéj swobody na scenie a postaci swéj, młodego zdobywcy serc ludzkich, dać tyle ruchliwości, ognia i werwy, aby złudzenie było trwałe i sympatyczne. Z zalet takich, jak się to często zdarza, wyradzają się usterki, na które zwracamy uwagę artystki. Życzylibyśmy mianowicie, aby panna Ż. miarkowała w przyszłości swoją akcję, aby pamiętała, że zbyt ostra intonacja głosu i rozrzutność gestykulacji sprzeciwiają się pojęciu pańskiéj dystynkcji, a młody wicehrabia, jakkolwiek żywy i chwilami nawet roztrzepany, jest przedewszystkiém paniczem wysokiego tonu i imponuje nietylko temperamentem, ale pańskim sposobem bycia. Zresztą gra panny Ż. rosła z każdą zdobytą sytuacją i miała wiele scen, które zniewalały widzów do głośnych oznak zadowolenia,

Pan Liedke (Deperières) wykończył swoją rolę aż do drobnych szczegółów. Niezmierne postępy, jakie robi w ostatnich czasach, dają rękojmię, że scena polska doczeka się w nim pierwszorzędnéj siły artystycznéj.

Pani Kossakowska (Grewin) zaczyna dopiéro sceniczny zawód, sposób jednak jéj akomodowania się na scenie zdradza niemałe zdolności. Roli swéj nieco rubasznéj krawcowéj, dała pani K. zbyt delikatne, nawet salonowe kontury.

Panna Disterlo (Herminja), pp. Puchniewski (d'Hugeon) i Benda (Pompone) zasłużyli na pochlebne uznanie, którego niepodobna udzielić obojgu księztwu Soubise (p. Bolechowska i p. Bogucki), robili bowiem wrażenie kogoś ze swego książęcego otoczenia.

Niedzielne farsy pomijamy jak zwykle milczeniem, a zakończymy wzmianką, że szereg tygodniowych przedstawień zakończono dramatem Franciszka Ponsarda „Lew zakochany", powtórzonym z ulepszoną obsadą ról.

Pani Nowakowska w roli margrabiny de Maupas nie zostawiła nic do życzenia, jak się to zwykle dzieje, kiedy artystka ta występuje w rolach swego fachu, t. j. silnie dramatycznych charakterach. Piękna deklamacja i wspaniała postawa, ruchy i sceny nieméj gry, stanowiły skończoną harmonję, robiącą głębokie wrażenie. Końcowa scena w domu Humberta przypomniała nam żywo owe mistrzowskie produkcje Ponsardowskich dramatów, jakie tylko widzieć można w komedji francuzkiéj i Odeonie, kiedy występuje słynna Favart, Agar lub Sarah Bernard.

Obok pani N. należy się wszelkie uznanie p. Moszyńskiemu (Humbert) który postać republikańskiego lwa przeprowadził systematycznie w całym blasku wzniosłych uczuć i gorących porywów.

Pan Grabiński (de Vaugris) był wzorowym typem nieugiętego do ostatniéj chwili legitymisty. Zarówno brawura jak świetność arystokratycznych manier były w subtelnych odcieniach zaznaczone a całość gry zasłużyła na najwyższą pochwałę.

Wystawa sztuki i kostiumy były piękne, sceny jednak zbiorowe, mianowicie w salonie pani Tallien, wypadły szorstko. Z przyjemnością zaznaczamy, że w kostiumie Ceres porobione konieczne zmiany, trywializowanie bowiem w tak pięknym i poważnym dramacie nie jest do tolerowania.

Tak „Lew zakochany" jak „Lukrecja" i „Agnieszka z Meranu" są perłami nietylko utworów Ponsarda, ale całéj dramatycznéj literatury. Wpływały i wpływać one będą na szlachetność uczuć, budziły i budzić będą w łonie ludzi wyższe pragnienie i żywsze uderzenie serca tak długo, dopóki nie przytłumi go bydlęcy materjalizm a bezwzględna gonitwa za zyskiem nie poniży.

Tymczasem wszelkie prohibowanie dzieł Ponsarda jako niemoralnych, uważać musimy za najwyższy stopień umysłowego upośledzenia, za objaw zepsutego smaku, którego naprawa należy do tych czynników, które złe spowodowały: do sceny i krytyki.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE
o
RZECZACH POLSKICH.

†

Wincenty Pol

dnia 2 grudnia.

* * *

Dr. Ludwik Léger, znany przyjaciel i znawca rzeczy sławiańskich, ogłosił w num. 95 „Correspondance Slave“ obszerny list, w którym zbija bezpodstawne insynuacje dzienników rosyjskich i polskich, przypisujących ostatniéj jego podróży w głąb Rosji cele i charakter polityczny.

Szanowny mąż twierdzi stanowczo, że misja poruczona mu od francuzkiego ministerstwa oświaty była czysto naukową, że zadaniem jego, któremu się wyłącznie oddawał, było zbadanie dzisiejszego stanu nauk w Rosji i stosunków naukowych, jakie łączą to państwo z innemi szczepami sławiańskiemi.

Dr. Léger odpychając ze słuszném oburzeniem wszelkie ubliżające mu twierdzenia i rzucane na oślep sądy, twierdzi, że stosunki, jakie zawarł z rosyjskiemi uczonymi i dokładne studja które porobił, objaśniły go gruntownie o stanie rzeczy w Rosji, że będzie się starał uwagi swoje i spostrzeżenia jak najspieszniéj ogłosić drukiem.

Oczekując z niecierpliwością ukazania się téj ciekawéj publikacji, odwołujemy się do wszystkich naszych wzmianek o Dr. Léger, w których złożyliśmy dowód, jak wysoko cenimy tego męża, rozbijającego w proch wszystkie niegodne baśnie, jakie o nas krążą na Zachodzie, wierzącego silnie w naszą i wszystkich Sławian przyszłość.

* * *

— W r. 247 „Kraju“ podaje Dr. Ferdynand Kajsiewicz, profesor wysłużony uniwersytetu Jagiellońskiego, ciekawe szczegóły o pozostałych po **Hugonie Kołłątaju** manuskryptach.

* * *

— Pod redakcją ks. M. Nowodworskiego ma w Warszawie wychodzić przekład Wetzera i Weltego **Encyklopedji kościelnéj.**

* * *

Sztuki piękne:

— P. **Kossak** wykończył, jak donosi Czas, dwa albumy z wyprawy myśliwskiéj na niedźwiedzie, o któréj mu donosił korespondent fejletonowy. Jedno z tych albumów przedstawia widoki z polowania w Karpatach, drugie zaś szkice humorystyczne z téj wyprawy, a oba są własnością ks. Adama Sapiehy. — Pan Kossak wymalował także akwarelowy portret ś. p. Adama Potockiego.

* * *

Wydawnictwo Tyg. Wielkopolskiego

zawiadamia, iż książka zbiorowa została już Szan. Prenumeratorom wysłaną i prosi o reklamacje, w razie gdyby kto został pominięty.

PP. Gruszczyński i Przyłuski z Poznania zechcą się zgłosić po odebranie swoich exemplarzy do Adm. Dziennika Poznańskiego, adres ich bowiem nie jest nam wiadomy.

P. I. Breański z Zagórzan zechce nam podać swój ścisły adres, pod powyższym bowiem poczta przyjąć nie chciała.

P. Alojzemu Praunowi — wysłano do Lwowa poste restante.

Przy téj sposobności zawiadawiamy łaskawych naszych czytelników, iż otwieramy przedpłatę na Książkę Zbiorową na rok 1873 po 2 tal. dla prenumeratorów Tygodnika Wielkopolskiego, zaś po 3 tal. dla innych. — Nazwiska przedpłacicieli będą dla wspólnéj kontroli natychmiast ogłaszane.

(Odezwa).

Do N. N. — Thorn — odesłano bardzo dawno.
X. X. proszę bardzo o odpowiedź.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.